

— Jak pan pozwoli, przyniosę jeszcze — nakłania mnie nieznajomy.

— O, dziękuję. Jak wstąpię do pana, to i owszem. Na razie dość.

Rozkwaterował się batalion w tartaku. Legli strudzeni żołnierze po długim marszu, kucharze rozpalili ogniska, strawę gotując. Dyrektor tartaku odstąpił cały dom na kwatery dla oficerów i kancelaryi batalionu.

Rozstawiono placówki, sierżanci fasują amunicję dla plutonów. Niedługo widocznie pozostaniemy tutaj.

Wieczór już zapadał, gdy szedł na zamówioną kwaterę. Gospodarz domu przedstawił mi swoją rodzinę, rozgadaliśmy się, jak gdyby dawni znajomi. Z ciekawością dopytywali się o nasze wojsko, ciesząc się, że polski żołnierz znów za oręż porwał.

— A cóż — pytam — byli tu Moskale?

— Tu, nie, panie — odpowiedziała żona — ale w pobliskich wsiach grasowali. Strach, co się tam działo.

— Byliście państwo niespokojni?

— Tak, strasznie niespokojni. Już mieliśmy rzucić całe gospodarstwo, ale żal było, więc zostaliśmy. I, dzięki Bogu, żeśmy tu zostali, bo kto wie, co by nas w drodze było spotkało, a tak, to tu już bezpiecznie. Panowie przyszli, obrona będzie.

— Wygnamy wroga!

— Daj Boże, jak najprędzej.

Gospodyni zastawiła stół potrawami, zapraszając do stołu.

— Wybaczcie państwo — zwracam się do nich — zjeść zjem, ale pozwólcie mi, żebym i ja wam dłużny nie pozostał.

— O tem, potem — śmiejąc się, odpowiada gospodarz i gwałtem sadowi mnie do stołu.

— Bo, widzi pan — tłumaczy gospodyni — miło jest spotkać rodaka na obcej ziemi, a czem chata bogata, tem rada. Jakżeby to było, byśmy żołnierza-rodaka z chaty puścili o niczem, głodnego może?

— Ależ, nie jestem głodnym — wykręcam się.

— Nic panu nie pomoże — uśmiecha się córka, szesnastoletnia pannica — wzięliśmy pana do niewoli i musi się pan poddać rozkazom przeciwnika.

— Do tego tak miłego przeciwnika, jak państwo — odpięram atak z uśmiechem.

Dobrzy to ludzie, zacni. Z żalem spoglądam na zegarek, szósta dochodzi. Żegnam się, dziękując za przyjęcie.

— Ale pan na noc spać przyjdzie? — pyta gospodarz. — Tam, w tym tartaku to trochę za zimno. Przyjdź pan, łóżko chętnie odstąpimy.

— Dziękuję, może skorzystam z tego, o ile batalionowy pozwoli na prywatną kwaterę.

— Przyjdź pan, czekamy!

— Będę się starał. Cześć!

— Cześć! Cześć!

Odprowadzili mnie aż na drogę, przypominając przy pożegnaniu o przyrzeczeniu.

— Będę pamiętał — rzekłem, żegnając się.

Przez drogę przebiega dragon austriacki, pewnie ze sztabu jedzie — myślę sobie — widząc go zmierzającego w stronę kwatery batalionowego.

Plutonami zaczyna się fasunek naboju. To najpotrzebniejsza strawa obecnie dla żołnierza. Gdy naboju brak, to rozpacz żołnierza ogarnia. Można ścierpieć i głód i nędzę, lecz naboje muszą być. To pierwsze przykazanie żołnierskie.

Zapowiedziano wypoczynek, z kwater nikt wydać się nie może, niewiadomo, co w nocy będzie. W kancelaryi batalionowej odbiera meldunki, raporty do sztabu wysyła.

Z żalem myślę o gościnnym domu polskim, gdzie na mnie napróżno czekają i wygodnie posłanem łóżku, gdzieby powykręcane marszem gnaty wyprostować można. Ale trudno, trzeba z batalionem los podzielić, w tartaku rozłożyć się na deskach. Wyszukuję jakieś ciepłe miejsce i robię spostrzeżenie, że nie brak tu świeżego powietrza, gdyż ze wszystkich stron wiatr wpada. Była to szopa, nakryta tylko dachem. Drewniana podłoga, pod nią przepływająca rzeczka, która pędziła tartak. Wyciągając słomę z pod śpiących kolegów, znosiłem ją skrzętnie, aby gniazdko uwić. Deskami zastoniłem się trochę od przejmującego wiatru i, zwiłając się jak jeź w kłębek, próbowałem zasnąć. Ba! nie tak to łatwo! Plecak pod głową twardy trochę, kurtkę naciągałem na twarz, kocem owinąłem się, aby niegodziwy wiaterek nie bardzo dmuchał na mnie. Po chwili czuję, że ciało poczyni się rozgrzewać. Pod wpływem ciepła, ukryty w łonie mojem wróg, chytrze wysunął się z legowiska i dalej atakować. Sięgnąłem ręką za pazuchę, wyjmuję dojrzałego owada, który najspokojniej pał się kosztem mojej krwi.

— Co z nim zrobić — myślę — rzucić na deski,

szelma gotów z powrotem przywędrować, jeśli nie do mnie, to do kolegów. Iść go utopić w rzece, nie chce mi się wstać, a zresztą musiałbym mu młyński kamień uwiązać u nogi, aby poszedł na dno, inaczej dopłynię do brzegu. Ha — postanowiłem wkońcu — poczekaj ty moskiewska duszo, sprawię ci łaźnię. Udusiłem go i rzuciłem obok. Ale nie był to jedyny przedstawiciel tej rasy. Był to dopiero jeden, widocznie ze straży przedniej. Rozpocząłem polowanie na wielką skalę.

Co który pocliwi mię w okolicy serca, łaps go palcami, pocznę go ckliwić, póki mi nie pęknie.

Utrapienie to było. Ani sposób ognąć się przed nimi. Co parę dni zmieniałem bieliznę, ale gdy się dostaną do człowieka, to już długi czas mu towarzyszą, znosząc cierpliwie dolę i niedolę żołnierską. Trzebaby wszystko gruntownie zrzucić, ubranie szczególnie wyczyścić.

Z zadowoleniem spostrzegam, że nie tylko ja sam spać nie mogę, polują i inni żołnierze.

Wreszcie wytłukłem zdaje się dowódców, gdyż opuściło mnie już to swędzenie skóry, widocznie zniszczyłem większą część nieprzyjaciela, a reszta cofnęła się w porządku.

Wycieram palce o drewnianą podłogę i owijam się kocem. Wiatr huczy po szopie, zimnym pocałunkiem obejmuje głowy śpiących żołnierzy. Słychać głosy wyjących psów, które za trenem wlokły się. Widocznie na wozy z mięsem się dostały i żołnierze im łaźnię sprawili.

Senność ogarnia powoli... zasypiam.

\* \* \*

Głos trąbki alarmowej zrywa nas ze snu. Na gwałt ubierają się żołnierze, pakuja tornistry. Przed tartakiem stoi już dziewięć kompania porucznika Florke, gotowa do wymarszu.

Wybiegamy przed tartak. Wśród kompanijnych ożywienie jakieś, narada. Godzina wpół do pierwszej rano, ciemności egipskie na polu.

Bum... bum... — słychać dalekie echo strzałów armatnich.

— Co to jest?

— Słyszycie?

— Nasze bataliony w ogniu!

— To artyleria rosyjska gra — szeptała. — Pierwszy i drugi batalion naszego pułku w ogniu.

— Idziemy w ogień!

Znać powagę w rozmowach. Ustały śmiechy i żarty, z wyteżoną uwagą słucha każdy głosu komendy. Batalion stoi sformowany, oficerowie dzielą plutony, poczem udają się po szczegółowe instrukcje do batalionowego.

Wydzielono maruderów, dwa plutony pozostały jako załoga na kwaterze, reszta batalionu ma spełnić zadanie.

— Będą chrzciny — szeptała żołnierze.

Nieustannie słychać armatnią kanonadę. To walka pod Marmaroszem Sziget. Raz silniej, drugi raz znów słabiej słychać huk armatnich gardzieli. Niektórzy żołnierze obliczają, jak daleko może być stąd do linii ognia. Jedni twierdzą, że musimy być prawie że pod samą linią bitwy, gdyż huk słychać dokładnie, a przecież przegradzają nas wzgórza, wstrzymujące poniekąd echo.

Za chwilę przybiegli uśmiechnęci oficerowie, zwawo koło plutonów się kręcąc. Przejrano ładunki, sierżanci rozdzielili każdemu po puszcze konserw i pięć sucharów.

— Baczość! — zagrzmiwały głosy plutonowych.

Wyrężyły się szeregi, wyprostowały.

— Na ramię broń!

Równiutko zarzegotały rzemienie, rzekłbyś, nie plutony to uczyniły, lecz jeden żołnierz.

— Ładować!

Roztworzyły się „patrontaszkę”, jakby jedną ręką otwarte.

— Ładuj broń!

Zarzegotały karabiny, roztworzyły zamki i nabój do środka wpadł, aby, jak przyjdzie wróg, pluć żelazem na niego można było.

— Na ramię broń! Czwórki w prawo zwrot! Marsz!

Wysuwają się ciemną nocą plutony, rozdzielają po drodze, każdy we wskazanym kierunku idzie, bo wróg przez przełęcz przekraść się chce, aby kraj zniszczyć.

Ciemną nocą wymaszerowały... przy dźwięku wojennej muzyki... huku armat rosyjskich, na spotkanie wroga, który pod Marmaroszem Sziget wpadł i walkę już rozpoczął z naszymi batalionami.

Cicho... poważnie... żołnierze szli, jakby na uroczystość jaką wielką, niebywałą...

A drżało tam niejedno serce, aby jak najprędzej wroga tłuc, ciesząc się, że to może być lada chwila.

Kompanijny Dziekanowski prowadzi pierwszy pluton swej kompanii. To Podgórzanie w drugim powołaniu wcieleni do II pułku. Prowadzi ich na wyznaczoną placówkę. Obsadzić mają górę K., odeprzeć nieprzyjaciela, który zamierza przekraść się na węgierską ziemię.

Noc ciemna, mglista, o parę kroków nic nie widać. Przesuwają się powoli po drodze, skręca się pluton na lewo i wchodzi w podnóża góry. Gęsta krzewina tamuje drogę, rękami trzeba rozgarniać gałęzie, przedzierać się przez zarośla. Przebyli wreszcie gęstwinę, teraz pod górę trzeba się pąć, spadzistą górę i wysoką 1260 metrów nad poziom morza. Odwieczne buki gęsto rozwinięte pokryły górę, żołnierz pojedynczo musi iść. Gdzieś tam wiekiem starości zwalone drzewa leżą na drodze, tamując przejście. Trzeba przez nie przełazić, przeskakować.

Ciemności piekielne.

Żołnierz nie widzi przed sobą nic, tylko po stukach poznaje, iż przed nim idą inni, maca ostrożnie pnie drzew i z trudem pnie się w górę. Jeden drugiego za płaszcz się czepli, aby mu lepiej było iść, aby się nie zgubić. Kompanijny z przewodnikiem na czele idzie, dogodną drogę obiera.

Dociera z plutonem do terenu wiecznego śniegu.

— Już niedługo będzie szczyt góry — szeptała żołnierze.

Śnieg skrzypi pod nogami, zimno przeraźliwe przejmie ciało. Im wyżej, tem większy śnieg leży, nogi zapadają się w śniegu po kostki, podkuty but poślizgnie się nieraz, zatoczy się niekiedy żołnierz, ale drudzy go podtrzymują i pną się dalej w górę.

Wreszcie dociera kompanijny szczytu góry, odśapnąwszy głęboko, wstrzymuje pluton, który stanął za nim na małej, pochyłej płaszczyźnie. Wyznacza patrole, reszta plutonu ma spocząć.

Wszystko teraz od patroli zależy. To też wybrał dzielnych chłopów i rozpuścił ich po północnym stoku góry, łączniki za nimi posłał.

Reszta plutonu spoczęła.

W śniegu otulił się żołnierz, jakby pierzyną otoczony, lecz długo leżeć się tak nie da, tembardziej, że drzemiąc, łatwo można ze stoku płaszczyzny spaść w przepaść. Ni ognika zapalić, ni papierosa, tylko czuwać.

— Wiecie — odzywa się Halitef — zaraz spanie wam przygotuję.

— Jakże?

— Ot tak!

Okrążył drzewo rękami, przypiął się do pnia starego buka. Za jego przykładem poszli i inni. Na tornistrach posiadali, przypięci do drzewa, jakby się z niem zrosli. Przynajmniej bezpiecznie podrzemać można.

Stare bukowe drzewa szumią, kołysane wichrem, jak gdyby dziwiły się, co za niebywały gość w królestwo ich wstąpił. Czasem poruszy się coś w krzakach, czujny żołnierz natęży słuch.

To mieszkaniac lasu, zwierzę, poruszył krzakami, zwał się niebezpieczeństwo i chyżo umknął w dolinę.

Kołysa się drzewa... szumią...

Z szumem mieszają się dalekie echa walki, gniewny huk armatnich paszcz, żołnierz mimo woli za karabin chwyta. Liczą niektórzy pociski, wiele ich naraz padło, liczą w jakich odstępach czasu. Czasem uciennie kanonada, aby za chwilę głośniejszym echem zagrzmić. Niekiedy zdaje się, że tylko kilkanaście metrów oddalona jest artyleria rosyjska i lada chwila odkrywszy nas, pocznie pluć w las żelazem.

— Obywatelu! — odzywa się Halitef Jan.

— Co jest?

— To ci Mędrzykowski wianki puszcza... Rakiety będziemy zaraz widzieć!

— Uważaj, żeby cię taki wianek nie poczęstował.

— A niechta! Co mi ta o to? Jeden mniej, jeden więcej!

Trzech braci służyło w pierwszym plutonie, najmłodszy z nich był Jan, piętnaście lat miał, ale chłopisko, jak smok, silne, rozrośnięte. Dzielni to byli żołnierze, energiczni, sprężysti, polegać można było na nich najzupełniej. Dla nich nie było nic, co by się zrobić nie dało. Pchali się wszyscy do najcięższej służby, rywalizowali między sobą. Ta ciągła rywalizacja poróżniła ich między sobą.

Tak i teraz, leżąc obok siebie, jeden drugiemu szeptem śle docinki. Dostyszał to kompanijny, Dziekanowski, zjeżdżał ich porządnie, tak, że umilkli, jak trusie.

— Bez drwinek, zgoda ma być! Braterstwo ma być! Bracia, czy nie bracia, kochać i szanować się trzeba! Polskimi jesteście żołnierzami — burczał gniewnie nad nimi.

(Dokończenie nastąpi)